



# PRZEPIS NA LENINA

## ZOBACZYĆ, ZDOBYĆ I PRZEŻYĆ

Tekst i zdjęcia / DAMIAN WOJCIECHOWSKI TJ

---

„Widzę was!” – patrząc przez lunetę na ścianę Piku Lenina mówi do krótkofalówki Władimir Iwanowicz Suwiga, szef bazy Ak-saj, największej u podnóża jednego z pięciu szczytów Śnieżnej Pantery. – „Ściągnijcie ją na dół do *Fortuny* i niech tam zdycha!”. Taki ton w stosunku do naszej rodaczki z Lubina, która spędziła samotnie ponad dobę na 7000 metrach w temperaturze  $-30^{\circ}\text{C}$ , trochę mnie szokuje.

---

**D**okoła dziesiątki takich samych żółtych namiotów, które mogą pomieścić setki alpinistów. Suwiga odrywa się od lunety i opowiada historię Balbiny.

– Była tutaj w zeszłym roku i opłaciła wejście przez naszą firmę. Coś mi się nie spodobała, więc kazałem ją zbadać lekarzowi. Pani nie może iść powyżej 6000 metrów

– zawyrokował nasz medyk. Więc jej wyżej nie puściliśmy. W tym roku przyjechała sama. *Fortuna* organizuje tylko przepustkę w strefę nadgraniczną i samochód z Osz, i z ich klientami mamy najwięcej kłopotów – skarży się Suwiga, bo jego firma zapewnia przewodników, namioty w drugiej i trzeciej bazie, wyżywienie, saunę, łączność

satelitarną itp. Mają podpisaną umowę z firmami ubezpieczeniowymi i jako jedyni zajmują się na Leninie ratownictwem. Jeśli trzeba, wezwą nawet helikopter, ale to zdarza się raczej rzadko.

– Polacy robią nam tutaj dużo problemów – dodaje szef bazy, która w ciągu dwóch miesięcy sezonu zarabia około miliona dolarów.

## GÓRY WYSOKIE

– Może dlatego, że nie mają pieniędzy i chcą na wszystkim oszczędzić? – sugeruję niezdecydowanie.  
 – Może, ale tę idiotkę moi chłopcy ściągają bezpłatnie i nikt im za ich męki nie zapłaci. No tak, ale Bargiel to super facet! – dodaje Suwiga, podaje mi rękę na pożegnanie i idzie do swojego namiotu-biura.

## KOLEJNY SZCZEBEL W DRABINIE

Wielu z tych, którzy przekroczyli próg 5 lub 6 tysięcy metrów zastanawia się: co dalej? Ich wybór często pada na Pik Lenina (7134 m) położony na granicy Kirgistanu i Tadżykistanu, kulminację Zaafajskiego Grzbietu, od którego rozpoczyna się Pamir. Słusznie uchodzi za najprostszy technicznie szczyt spośród pięciu gór Śnieżnej Pantery (pozostałe to: Pik Kommunizma, Pik Korzeniewskiej, Pik Pobjedy i Chan Tengri). Pik Lenina nie przedstawia większych trudności technicznych. Wystarczy umiejętność poruszania się z lotną asekuracją,

posługiwania się poręczówką (w kilku bardziej stromych miejscach Ak-saj wiesza liny), pokonywania szczelin na lodowcu i ewentualnie założenia stanowiska asekuracyjnego przy pomocy śrub lodowych lub czekana. Na całym podejściu nie ma praktycznie żadnej ekspozycji. Jednak czym bliżej końca sezonu, tym szczeliny w lodowcu stają się szersze, więc lepiej nie ryzykować i nie skakać bez asekuracji. Na moich oczach Rosjanka wpadła do szczeliny – na szczęście była przywiązana do liny i skończyło się tylko na histerycznym płaczu.

Łatwość, jaką kusi Pik Lenina, to jednak pozór. Surowy klimat, zmienna aura, duże opady śniegu (kilkadziesiąt centymetrów w ciągu doby) i długie okresy niepogody sprawiają, że niewielu alpinistów osiąga szczyt. Elena Kałasznikowa, szefowa Ak-saj, podczas wywiadu w swoim gabinecie w centrum Biszkeku mówiła mi, że wchodzi około 40% ich klientów. Suwiga na lodowcu powiedział z kolei, że 20–30%, a jeden z jego chłopaków, że tylko 10–20%.



I ta ostatnia liczba jest chyba najbliższa prawdy. W 2017 roku ze względu na złą pogodę do 15 lipca na szczyt weszły zaledwie dwie osoby! Z naszej grupy Pik Lenina zdobyła 1/3 zespołu, a przypadkowych osób wśród nas nie było.

Jeszcze większy problem to aklimatyzacja. Piszę o rzeczach dla większości czytelników GÓR oczywistych, ale po spotkaniach z wieloma ludźmi pod Pikiem Lenina i po swoich gorzkich doświadczeniach myślę, że warto je powtórzyć. Ponieważ dla wielu z przyjeżdżających na Lenina to pierwsze doświadczenie z tak dużą wysokością, bardzo często właśnie brak aklimatyzacji jest główną przeszkodą w osiągnięciu szczytu. Trzeba z żelazną konsekwencją trzymać się programu aklimatyzacyjnego: wchodzimy do wyższej bazy na jeden nocleg i schodzimy – najlepiej do obozu bazowego na Polanie Ługowej (Cebulowej), na wysokości 3600 metrów. Po dwóch dniach odpoczynku znowu idziemy do góry, o jeden obóz wyżej. Jak wahadło, które ciągle

wychyla się coraz bardziej, ale zaraz powraca do najniższego położenia. Na aklimatyzację najlepiej poświęcić około dwóch tygodni. Różne strategie można znaleźć w Internecie. Większa, zorganizowana grupa z przewodnikiem narzuca dyscyplinę, która jest bardzo pożyteczna podczas aklimatyzacji. Bardzo ważne, żeby dużo pić. Tak ze względu na wysokość, jak i na słońce. Ponieważ od „trójki” wszystko zamarza, dobrze mieć nawet dwa termosy.

Przed wyjazdem można zacząć brać tabletki z żelazem, aby pomóc organizmowi wytwarzać większe ilości hemoglobiny, bo główną przyczyną choroby górskiej to niedobór tlenu. Ogólne osłabienie, bóle i zawroty głowy, mdłości i wymioty, krótki oddech, brak apetytu – to tylko niektóre jej objawy. Mogą być też inne, jak w moim wypadku bezdech nocą. Negatywne skutki częściowo niweluje jedna tabletka duramidu dziennie (ale tylko z rana, to lek moczopędny!). Często zdarza

się, że najsilniejsze organizmy trzymają się dobrze – na przykład wydaje się, że ktoś nie potrzebuje aklimatyzacji aż do „trójki”, albo nawet do ataku szczytowego. I wtedy nagle przychodzi obrzęk mózgu. Płyn w dużych ilościach dostaje się do opon mózgowych, zwiększa się ciśnienie wewnątrzmożgowe, pojawiają nieprawidłowości w funkcjonowaniu układu nerwowego, halucynacje. Jeśli nie zejdzie się szybko na dół i nie zrobi zastrzyku z deksametazonu, śmierć może nastąpić w ciągu kilku godzin. Silny organizm, który na niższych wysokościach nie dawał objawów choroby wysokościowej, jest jak cięciwa łuku: czym mocniej ją naciągniesz, tym gwałtowniej pęknie.

## GDZIE DIABEŁ NIE MOŻE...

W „jedynce” Central Asia Travel poruszenie. Chłopaki z Ak-saj przywieźli Balbinę. Jest zupełnie bez sił. Pomagam jej ułożyć się w namiocie sanitarnym. Lekarz podłącza kroplówki: dwie doby nie jadła i nie piła. Ale na szczęście żyje. Cierpliwie tłumaczę,

że musi zdjąć ubrania – w namiocie jest gorąco, a ona ma pięć odmrożonych palców. Sinych, pokrytych bąblami. Grozi jej gangrena. Balbina pyta o swój śpiwór. Mówi, że musi po niego wrócić do „trójki”. Za chwilę chce wstać, bo przypomniała sobie o GPS-ie i aparacie fotograficznym. Łapię ją w ostatniej chwili – jest zupełnie bezwładna. O dziwo, stopy ma białe, choć mówi, że były całe sine. Uratowały ją ciepłe buty, niestety rękawice zgubiła na podejściu na szczyt.

Z „jedyńki” do „dwójki” szła 17 godzin. To swoisty antyrekord. Kiedy inni zwracali jej uwagę, że coś z nią jest nie w porządku, mówiła, że po prostu ma wolne tempo. Na szczyt wychodziła razem z większą polską grupą. Oni już wracali, a ona jeszcze dreptała pod górę. Próbowali ją przekonać, aby zeszła z nimi do obozu. Nie chciała. Wyprawa na Pik Lenina w pojedynkę lub z przypadkowo spotkanymi osobami zdecydowanie zwiększa ryzyko. W końcu

bez sił upadła na śnieg. Miała szczęście, bo była obok głównej ścieżki. Rankiem kilka kolejnych grup poświęciło się i zamiast wejść na szczyt, sprowadziło ją do obozu. Pamiętajmy: nasze nieodpowiedzialne zachowanie może być nie tylko naszym problemem. Kirgizi wsadzają Balbinę na konia. Jeden siada z tyłu, obejmuje ją i chwytaje lejce. Za chwilę już są na lodowcu. Pozostaje tylko jej życzyć, by nie straciła palców.

#### PRAKTYCZNE SZCZEGÓŁY

Nie będę wyliczał sprzętu, który trzeba mieć ze sobą, wybierając się na Pik Lenina, ale zwrócę uwagę na kilka rzeczy. Ważne są szczegóły: rękawice, a właściwie puchowe łapawice, obowiązkowo muszą być przywiązane na sznurkach. Ich zgubienie przy silnym wietrze może zakończyć się tragicznie. Kolejna sprawa to jak najcieplejsze buty. Pamir jest o wiele dalej na północ niż Himalaje. Ciepłe buty (odpowiednio większe, aby weszła swobodnie najgrubsza skarpeta – ciasne to gwarancja odmrożenia lub zerwania paznokci) uratowały nie tylko palce u nóg, ale może nawet życie Balbiny. Na Leninie czekają nas dwie skrajności: niskie temperatury i silny wiatr w trzecim



obozie oraz na szczycie, a równocześnie straszne, mordercze słońce na podejściu do obozu drugiego i trzeciego. Kirgiskie słońce ze względu na dużą wysokość i biały śnieg, od którego się odbija, wyciska ostatnie soki z każdego, kto chce przejść przez lodowiec w ciągu dnia. Kolor ubrania ma znaczenie: na moich czarnych, gore-texowych spodniach mógłbym smażyć jajecznicę! Twarz i szyja muszą być dokładnie zakryte. Dobrze sprawdzają się gogle i bandana. Krem UV to oczywistość, a dla ludzi z wrażliwą skórą ratunkiem może być maść cynkowa. Warto też wziąć coś na oparzenia.

Bardzo praktyczne jest posiadanie dodatkowych namiotów, tak żeby w każdym obozie móc zostawić jeden z depozytem i nie nosić wszystkich rzeczy tam i z powrotem. Zresztą namioty w „dwójce” i „trójce” można też wynająć w firmach, które prowadzą bazy alpinistyczne. Namiot musi mieć grubą podłogę z polietylenu – cienka z nylonu szybko przemoknie od topiącego się śniegu i wszystkie rzeczy będą pływać. Namioty w „dwójce”, a szczególnie w „trójce” lepiej okopać śniegiem: silny wiatr może je zdmuchnąć i po powrocie ze szczytu będą czekały na nas tylko stelaże. Jetboil

jest bardzo przydatny przy niskich temperaturach, ale dość skomplikowany, więc zawodny – nasz po dwóch dniach odmówił współpracy. W zapasie powinien więc też być prosty palnik. Nie wszystkie kartusze z gazem dobrze działają na większej wysokości. Najlepsze, choć też najdroższe, są firmy Kovea (mieszanka izobutanu z propanem), które można kupić w sklepie Red Fox w Bishkeku lub zamówić przez firmę turystyczną. Ale i tak kartusze lepiej nocą trzymać w śpiworze. Zapalniczki piezoelektryczne mogą nie działać – lepiej sprawdzają się te na kamień. Puchowe botki niewiele ważą, a zagwarantują komfort spania w „trójce”. Pomocne okażą się też ogrzewacze chemiczne do stóp i rąk.

Żadne jedzenie w torebkach nie zastąpi świeżych produktów, dlatego warto wziąć pod uwagę przynajmniej jeden normalny posiłek dziennie, dopóki jest się w obozie bazowym i w „jedyńce”, gdzie kosztuje on od 3 do 10 euro. Nie zapomnijmy o batonach energetycznych – od „jedyńki” w górę bardzo nam się przydadzą. Warto też mieć jakieś naczynko (tylko nie butelka, bo możemy współtowarzyszom zorganizować gorący prysznic), które w wyższych obozach posłuży za nocnik.

Wchodzenie na Lenina to przede wszystkim całe dni spędzone beczynnie w namiocie, warto więc pomyśleć o jakiejś podręcznej biblioteczce. Droga na szczyt z „trójki”, a szczególnie sam rejon szczytu są dosyć płaskie. W chmurach trudno się zorientować, gdzie stoi słynna statuetka Lenina, dlatego GPS z trackiem może być bardzo przydatny – zdarza się, że ktoś krąży wokół szczytu i w końcu wraca do obozu, nie zrobiwszy sobie najważniejszego zdjęcia. Track przyda się też na powrót do obozu, jeśli będzie niepogoda.

Co do ubezpieczeń, warto sprawdzić, czy honoruje je firma Ak-saj – muszą obejmować alpinizm powyżej 7000 metrów na sumę 30 000 euro. Ja wykupiłem ubezpieczenie rosyjskiej firmy Soglasije, 3 euro za dobę. Dobrze pojawić się w „jedyńce” firmy Ak-saj, pokazać ubezpieczenie i zgłosić, kiedy idziemy do góry. Służba ratunkowa Ak-saj komunikuje się na częstotliwości



153,625 MHz. Teoretycznie trzeba wykupić przepustkę na strefę przygraniczną – firmy turystycznie sprzedają je kilkakrotnie drożej niż straż graniczna. Przepustki zresztą bardzo rzadko są sprawdzane. Agencja ITMC wystawia je bez „sprzedaży wiązanej” z innymi usługami.

#### LENIN ALBO ŚMIERĆ!

Karol z Góry Kalwarii powoli stawał się maskotką „jedyńki” firmy Fortuna. Wysoki, dobrze zbudowany osiemnastolatek. Utykał na prawą nogę – miał mocno obtarty i zakażony palec. Zamiast warg dwa ogromne czarne strupy i złącząca z całej twarzy skórę. Najgorsze było jednak to, że przyjechał z infekcją dróg oddechowych – kaszlał całą noc. Jego grupa poznała się na

Facebooku. Kiedy szli do „dwójki”, na ich oczach oderwały się z grani seraki i zesłała lawina. O tym na Facebooku nikt nie pisał. Wszyscy oprócz Karola zrobili w tył zwrot i pojechali odpoczywać nad jeziorem Issyk-kul. Karol siedział w stołówce i, popijając colę za 5 dolarów, powtarzał „Lepiej zginąć niż się poddać”. Rodzice dzwonili codziennie – „Wróć, synku”. Opowiadał o planowanej na przyszły rok wyprawie na Nanga Parbat. Jego determinację podkreślały historie o jadowitych wężach, które hodował w swoim pokoju. Jak mogliśmy, odradzaliśmy mu powtórne wyjście w kierunku szczytu. Odpowiedź była jedna – „Lenin albo śmierć! Chciałbym, aby moje nazwisko było na kopcu Gilkeya, ale na to trzeba zasłużyć!”. Kiedy ktoś ma osiemnaście

lat, trudno winić go za wielkie pragnienia i młodzieńcze marzenia. W końcu dobrał się z młodym Duńczykiem, rozsądnym, ale po raz pierwszy w życiu będącym w górach. Doszli do „dwójki” skąd na szczęście Karol wrócił na dół.

Lenin był świadkiem wielu wielkich tragedii. W 1968 roku Radziecka Armia postanowiła pokazać Chińczykom, że jest w stanie w każdych warunkach bronić granic ZSRR – 46 żołnierzy dokonało desantu spadochronowego na ten pamiński szczyt. Czterech z nich zginęło. 7 sierpnia 1974 roku osiem najlepszych radzieckich alpinistów po wejściu na szczyt chciało wrócić inną drogą (miał to być pierwszy w historii tego typu trawers kobiecej grupy powyżej 7000 metrów), ale nagle rozpoczął się hu-

rgan, temperatura i widoczność gwałtownie spadły. Wiatr zerwał namioty i dziewczyny w szybkim tempie zamarały jedna po drugiej – przez cały czas miały łączność radiową z bazą, aż umarła ostatnia z nich. Kilka męskich grup próbowało dotrzeć do umierających na szczycie kobiet. Niestety, huragan i temperatura dosłownie zmiatały alpinistów z grani.

I w końcu największa tragedia w historii alpinizmu: 13 lipca 1990 roku ze szczytowej grani oberwał się ogromny lodowy nawis. Cały obóz drugi, czyli tak zwana „skaworodka”, która wydawała się zupełnie bezpieczna, została zmieciona z powierzchni ziemi. Zginęło 43, a może nawet więcej alpinistów. Lód dosłownie wprasował w lodowiec ludzi razem z namiotami. Jedno ciało wykuwano kilka godzin. Jeszcze dzisiaj od czasu do czasu lodowiec „wypluwa” swoje ofiary.

Siedzę w „dwójce” i przypatruję się ewakuacji młodego Ukraińca. Jego grupa rozdzieliła się na dwie: jedni poszli do góry, dwóch próbuje sprowadzić cierpiącego na chorobę górską chłopaka na dół. Pomaga im ratownik z Ak-saj. Biorą go pod pachy. Chłopak nie ma sił stanąć na nogach. Po 200 metrach grupa staje. Kładą go na śniegu. Próbują sklecić jakieś sanki z karimaty i śpiwora. Rozpoczyna się zamieć. Co chwilę zasłania mi ich śnieg. Operacja trwa ponad godzinę. W końcu widzę, jak powoli ciągną go po śniegu w dół. Bez żadnego specjalistycznego sprzętu. Następnego dnia taką samą podróż odbędzie Irańczyk. A potem następni i następni.

### CZY MOŻE BYĆ ŁATWIEJ NA 7000 METRÓW?

Dotarcie do Lenina rzeczywiście jest proste: do Biszkeku lata Aeroflot i tureckie linie. Taniej jest do Ałmaty w Kazachstanie – tam też latają linie białoruskie i ukraińskie. Potem 3–4 godziny taksówką do stolicy Kirgistanu (do obydwu krajów nie potrzeba wiz). Jeśli lecimy bezpośrednio do Biszkeku, najlepiej kupić bilet na samolot Biszkek – Osz (kosztuje około 80 złotych). Kilka odlatuje rano, akurat po przylocie



samolotów międzynarodowych. Wcześniej lepiej zamówić samochód do bazy na Polanie Ługowej w jednej z firm turystycznych (indywidualni kierowcy mogą nas zaskoczyć ceną i niezajomością trasy) i za mniej niż 24 godziny od wylotu z Warszawy będziemy już mogli podziwiać Pik Lenina. Nie podaję cen wszystkich usług, bo bez problemu można je znaleźć w Internecie. Obóz bazowy na wysokości 3600 metrów to w rzeczywistości kilka obozów rozrzuconych w szerokiej, trawiastej dolinie. Niektóre z nich mogą przyjąć jednorazowo setki turystów. Na górze doliny, w miejscu, gdzie kończy się droga dla samochodów, a zaczyna ścieżka dla koni i piechurów, tuż nad lodowcem, znajduje się ładna polanka ze źródłem, gdzie można przenocować „na dziko”. Droga do „jedyńki” nie przedstawia większych trudności. Na początku trochę ostrzejsze wejście na Przełęcz Putieszestwienników, gdzie może być ciężko ze względu na błoto podczas deszczu. Potem trawers po kamienistym zboczu wzdłuż lodowca. Następną przeszkodą to większy potok, który szczególnie po południu, kiedy spływa więcej wody z lodowców, może być

trudny do przejścia, ale za 2–3 euro przewiozą nas na koniach dżygici trzymający wartość na przeprawie.

Wchodzimy na pokryty kamieniami lodowiec, skąd drogowscy poprowadzą nas wydeptanymi ścieżkami do obozów „jedyńki” (4400 m) różnych firm. Najwięcej ludzi na dziko rozbija się w ostatnim, tuż przy wejściu w stronę „dwójki”. W obozie bazowym bez problemu można wynająć konie do transportu bagażu. 1 euro za kilogram to dobra cena. Do „dwójki” najlepiej wyruszyć nawet o 1, 2 w nocy. Wtedy uda nam się uciec przed palącym słońcem i tłumami przy przechodzeniu szczelin. Choć pierwszy odcinek jest bardziej stromy i ma kilka szczelin, jednak najbardziej daje się we znaki ostatni trawers przez „skawarodkę” (patelnię), kiedy rozpalone słońce wyciska z alpinistów ostatnie soki. Podobnie na odcinku do „trójki” – najtrudniejsze jest ostatnie podejście na szczyt Razdzielna. Na początku lipca, w zależności od tego, jak gorące jest lato, szczelin może być niewiele, ale czym bliżej końca sezonu, tym jest ich więcej – dłuższych, głębszych i szerszych.

„Dwójka” (5300 m) dzieli się na dwie części: główną na górze, na półce pod skałą i dolną, podzieloną przez główną „ulicę” na pół. W górnej części „dwójki” znajduje się źródło, z którego można czerpać wodę. Podejście do „trójki” zaczyna się ostrzejszym fragmentem na przełęcz, potem bardziej płasko na lewo i w końcu ostatnim męczącym fragmentem na Pik Razdzielna (6148 m). Co roku miejsce obozu może się zmienić – czasami położone jest pod szczytem. Tutaj przywita nas silny, a czasami nawet huraganowy wiatr. Nocą temperatury spadają do  $-30^{\circ}\text{C}$ . Wiele spośród grup, które ruszają do ataku szczytowego przed świtem, zawraca po pół godzinie, przemarzniętych do szpiku kości. Dlatego przy dobrej pogodzie lepiej iść do góry wraz ze słońcem, mając świadomość, że wrócimy dopiero nocą. Słońce oczywiście też da się nam nieźle we znaki. Na podejściu na szczyt ważna jest dobra orientacja w terenie. W bardziej stromych miejscach zazwyczaj rozwieszono



są poręczówki. Przejścia między wszystkimi obozami i na szczyt przy dobrej pogodzie i kondycji zajmują po około 5 godzin, ale przy słabym samopoczuciu i złej pogodzie mogą trwać o wiele więcej – na szczyt czasami wchodzi się i 10 godzin.

Niska cena (razem z biletem to około 3–4 tysięcy złotych) dostępność rejonu, serwis oferowany przez różne firmy – wszystko to może stanowić zachętę nie tylko dla alpinistów, ale także dla miłośników trekkingu. Za niewielką cenę można tutaj chodzić po lodowcu, podziwiać wspaniałe seraki i sięgające nieba, pokryte wiecznym śniegiem szczyty. Jednak jeżeli szukamy ciszy, samotności i dziewiczych gór, raczej nie znajdziemy ich pod Pikiem Lenina. Do „dwójki” czasami idzie równocześnie kilkanaście zespołów, które wyprzedzają się nawzajem, płacząc linami i czekając na swoją kolejkę przy przejściu przez szczeliny. „Dwójka” to prawdziwe gwarne miasteczko. Na Lenina przyjeżdża cały świat, szcze-

gólnie ludzie z Europy. Wśród alpinistów wyróżniają się też duże i hałaśliwe grupy Irańczyków, którzy lubią chodzić w największym skwarze, ale zdaje się, że niewielu z nich osiąga szczyt. Natomiast w rejonie „jedynek” na lodowcu można natknąć się na całe góry śmieci.

#### ZACHWYT I GROZA

Jeszcze dwa dni wcześniej siedziałem z grupą z Rostowa w namiocie-stołówce. Dzisiaj w „jedyńce” niespodziewanie zjawiała się zapłakana żona szefa grupy. Nagle poczuł się słabo w „trójce”. Z godziny na godzinę było coraz gorzej. Dzięki Bogu szybko zdecydowano się na ewakuację. Już jest w obozie bazowym. Żona-lekarka stoi bezradna obok dwóch plecaków. Nikt się nie spodziewał – był doświadczonym alpinistą.

Kirgizi przy koniach nagle się ożywili. Machają rękami do jeźdźca, który zbliża się do obozu po lodowcu od strony szczytu. Przed sobą ma przewieszony duży ła-

dunek omotany workami od kartofli. Młodzi Kirgizi prowadzą konia pod uzdę. Robią sobie zdjęcia komórką. Lekarka patrzy na widowisko:

– Miał 64 lata. Nie wiadomo, dlaczego w ciągu dwóch dni wszedł z bazy do „trójki”. Obrzęk mózgu był tak gwałtowny, że nawet jeśli by natychmiast przewieźć go samolotem na poziom morza, to by już nic nie dało. Czyste samobójstwo.

Później ładuje plecaki na konie i jak w żałobnej procesji rusza za trupem na dół. W tym roku to pierwsza ofiara Lenina, ale nie ostatnia.

A jaki piękny obraz pozostał mi w pamięci? Kiedy nocą dziesiątki zespołów wyruszały z „jedynek” do góry i na lodowcu oraz na podejściu widać było setki światełek, tak jakby robaczki świętojańskie pojawiły się nagle na oświetlonym przez księżyc śniegu. ■

Dane bohaterów zmienione.